

Od autora: Kolejne osiem stron. Zostanie jeszcze jedna część.

Trudne zadanie przede mną. Chcę działać wbrew powszechnemu przekonaniu, że nie ma pejzażu bez światła. Dawni mistrzowie malowali miejskie krajobrazy wyłącznie za dnia. Gdy nadchodziła noc, miasta gasły, a mieszkańcy zapadali w twardy sen. Malarze niekoniecznie kładli się do łóżek, pewnie pili, bawili się, jeśli za coś chwytało to nie były pędzle.

Współczesne metropolie nie martwią się brakiem słońca, gdy nadchodzi wieczór. Dzień jest przedłużany w nieskończoność przez sztuczne oświetlenie, nie daje wytchnienia zmęczonym oczom. Tylko, że pejzażystów już nie ma. Nie liczę rzeszy wyrobników, których dziełka można znaleźć w kramach z pamiątkami dla turystów. Oni muszą malować za dnia, by przejawione, zbyt kolorowe obrazy trafiły w niewyszukane gusta kupujących. Noc, pomimo odpowiedniego doświetlenia, należy teraz do innej nacji - fotografów. Nie mam nic do nich, ale oni są jeszcze bardziej uzależnieni od światła. To ich bożek, modlą się do niego, z namaszczeniem otwierają przesłony, wyliczają czasy, ciągle coś poprawiają i zawsze są zaskakiwani efektami swoich działań.

Prawdziwy artysta nie przejmuje się ograniczeniami, pędzel nie jest chciwy na światło, a wyobraźnia daje nieskończone możliwości. I właśnie imaginacja, fantazja jest moim budulcem podczas malowania. Zaczynam w myślach nanosić farbę na sztalugę.

Patrzę na Warszawę, zmniejszam natężenie blasku Mostu Świętokrzyskiego, nie jest mi do niczego potrzebny. Wyciągam na wierzch tajemniczość rzeki i spokój wędkarza. Wisła faluje w odcieniach granatu. Jest rzeką, więc płynie - widzę ruch, porwane konary drzew, krzyczące, proszące, bym je wyłowił. Dostrzegam w nich kształty ludzkie, wyciągnięte w górę, przeraźliwe, rozczapierzone dłonie, wykrzywione twarze topielców wpół zanurzone w mętnej wodzie. Pojawiają się, by zaraz zniknąć i nie wypłynąć więcej. Nie wiem skąd straszne wizje, jeszcze nie dawno obrazy wydawały się spokojne i przyjazne. Wzrok przenoszę na cypel, na którym siedzi wędkarz. Dookoła niego toczy się walka dwóch żywiołów. Wiry krążą, spieniona wściekłość fal otacza ziemię wdzierającą się łapczywie w rzekę. Nie jestem pewny, czy Wisła jedynie broni płynącego koryta, czy też zwyczajnie niszczy każdą napotkaną rzecz na drodze.

Mój zamysł - pokazać opozycję nieruszającej się sylwetki wędkarza do ciągłego pędu Wisły.

Jak malarz podkreśliłby bezruch? Czy to w ogóle możliwe? Dla pejzażysty bezruch jest kwintesencją dobrego dzieła, uwieńczeniem danej chwili na zawsze.

Chcę udowodnić niedowiarkom, że malując nie muszę zatrzymać czasu. Wręcz przeciwnie. Niech płynie. Rzeka w bezruchu byłaby negacją mojej postaci wędkarza, którego spokój rozplątałby się. Zniknąłby jak przepadł zamek królewski w wielości innych szczegółów miasta.

Nie mogę na to pozwolić. Każde pociągnięcie pędzla poprzedzam myślą. Nie spodziewałem się, że artysta wykonać musi tyle ciężkiej, męczącej pracy. Sam wzrok nie pomaga, daje zbyt wiele możliwości, z których muszę wybrać odpowiednie obrazy i połączyć, zespolić w sens.

Mam na płótnie rzekę, zacieniowaną postać, ale reszta jest nadal pusta. A co, jeśli nic więcej nie wydobędę? Zgubiłem się, niezręczna sytuacja...

Nie wiem jak namalować Warszawę nocą. Złość mnie ogarnia, bo przed chwilą naigrawałem się z różnej maści artystów, a nie jestem lepszy. Może nawet gorszy, bo głupszy, że porywam się z motyką na słońce. Z pędzlem na noc. Znów przypominam sobie lekcje plastyki w podstawówce. Dawano nam kartkę, kazano zamalować czarną farbą, a potem nanosić białą i żółtą barwą księżyc, gwiazdy, a także równo roz-

łożone białe punkciki, mające obrazować okna w blokach. Zaśmiałem się w duchu. Malarskie ambicje zamknęły się we wspomnieniu pracy plastycznej na cztery z minusem.

To koniec? Tylko na tyle mnie stać? Panie krakowiak, raczysz żartować...

Patrzę zrezygnowany na niedokończony obraz, już chcę obwiniać cholerne miasto za brak weny, a tu bohater z pierwszego planu porusza się.

Mężczyzna wstaje, rozprostowuje kości, przeciąga się ospale, podnosi krzeselko, składa wędkę. Idzie ku mnie. Dostrzegam w drugiej dłoni reklamówkę - jednorazówkę za kilka groszy. Wędkarz zbliża się.

- Niech będzie pochwalony - mówi.
- Na wieki wieków. Amen - odpowiadam automatycznie.
- Franek jestem - odstawia na bok wędkę, wyciąga dłoń.
- Konrad Dzielnicowy - odpowiadam.
- Pan z policji? - mruży jedno oko mężczyzna.
- Eee, czemu? - pytam i rozumiem. - To tylko nazwisko. Jak Wojewódzki. Taki szołmen, wie pan?
- Wiem, znam. Kuba. Czasem oglądałem, ale pierdoły w sumie.

Patrzę na mężczyznę. Jest stary, z pięćdziesiąt lat ma. Zakola na głowie, wąsy sumiaste, ubrany w bawełniany dres z dużym znaczkiem firmy Adidas. Typowa "cebulakowata" osobowość. I jeszcze w stolicy mieszka! Żal człowieka, tak po ludzku.

On też przygląda się z zainteresowaniem.

- Początkowo myślałem, że jakiś zboczeniec, ale oni kilka minut i nie ma ich. A pan siedzi ze dwie godziny, jak w mordę strzelił.

Odruchowo łapię się za szczękę, przygoda z kibicem jest wciąż żywym wspomnieniem. Przemoc jest traumą, niezależnie od okoliczności. Frankowi nie przeszkadza moje milczenie. Szeleści reklamówką i wyciąga wino. Jest napoczęte, zakorkowane prowizorycznie czymś, co nie mogę zidentyfikować.

- W domu otwieram. Z korkociągami chodzić po mieście nie zamierzam - tłumaczy. - No, ale jak nie chce się pić byle sikacza, to trza se radzić.

Częstuje. Pijemy po łyku.

- Całkiem dobre wino - chwalę.
- Z biedry - akcentuje slang miejski.
- Aha - kiwam głową. Odrywam ze sznurka czerstwy obwarzanek i odwdzięczam się. Je ze smakiem. Widać, że w tej Warszawie wszystko im smakuje.
- Możemy przejść na ty? - pyta nieoczekiwanie, pomysł przypada mi do gustu. "Panowanie" zostawmy na Kraków. Dobrze, że na ruskie "wy" nie proponował.
- Możemy. Konrad jestem.
- Franek.

Kolejny łyk wina pieczętuje naszą znajomość.

- A ty skąd jesteś? - dopytuje się - Znam tutaj wszystkich, ale ciebie nie widziałem. Pewnie z Gocławia przyjechałeś, jednak roweru nie widzę.

Gram va banque i stawiam na szczerość.

- Z Krakowa.
- Naprawdę? Ja też.

Podnoszę brew z niedowierzaniem.

- Znaczy się przyjechałem dwadzieścia lat temu. I już tak zostałem - dodaje.

Jak smok, myślę, tylko na odwrót.

Robi się gorąco, pewnie przez wino. Uderza mnie równocześnie straszna myśl, że ja tak mogę skończyć. W Warszawie, na lata, bez krzty strawy kulturalnej, pod czujnym okiem kibiców w nieskazitelnie białych bluzach.

- Jezus, Maria. Straszne. Jak tyle lat wytrzymałeś?

- Eee, bez przesadyzmów - wzrusza ramionami i bierze większy łyk. Dostrzegam symbolicznie haust i dumam, że biedak wpadł w alkoholizm przez niepokonane miasto. Niepokonane, bo nie do przepicia.

- Piękny widok - stwierdza, spoglądając w światła miasta. Wiem, że piękny, zauważyłem. Nie poruszam tematu. Wystarczy, że stoimy i kontemplujemy pejzaż. Korci w duchu, by opowiedzieć Frankowi o moich konotacjach malarskich, ale w ostatniej chwili gryzę się w język. Dwadzieścia lat życia w prymitywizmie na pewno wypaczyło mu umysł. Co najwyżej mógłby zrozumieć przekaz na poziomie nikiforyzmów. Nie będę rzucał pereł przed wieprze.

- Nawet tęsknię za Krakowem - Franek sentymentalnie zagaja.

- Taaak? - kto by nie tęsknił.

- I myślę, że to prawda co mówią o rzece - ciągnie niedorzecznie, znaczy się rzecznie.

- Co? - wtrącam przez grzeczność.

- O tym, że nie da wejść się dwa razy do tej samej.

Nic nie mówię, w głowie szumi wino. Mój kompan od butelki też czuje moc procentów, bo zaczyna pijackie wywody. Nie przepadam za tego typu rozrywką intelektualną. Poszedłbym do swojej Syrenki, alkohol działa na mnie miłosnopędnie.

- Bo wiesz, Konradku, ja pracuję w branży transportowej. Mój pracodawca przewozi towar szczególnie: ludzi-ryby.

- Jak to? Wozicie syrenki? - zdumiony jestem, ciekawość zamieniam w słuch.

- Nie, nie syrenki - uśmiecha się - To ludzie, normalni, ale twarze mają niczym śnięte ryby. Wiecznie zmęczone, zrezygnowane. W młodszych tli się, widoczny na zewnątrz, płomyk życia, lecz i oni nie zachowują się zwyczajnie. Są nadpobudliwi, nienaturalni w ruchach, jak ryby wyciągnięte z wody. Gdy tlen wypełnia skrzela, zaczynają panikować i ostatkiem sił wskakują do brudnej wody, dołączając do reszty. Trochę zbija mnie z pantałyku wywód Franka, domorosłego filozofa. Na wszelki wypadek milczę dyplomatycznie. Wyśmiać łatwo, nie ma co wykorzystywać sytuacji, szczególnie, że wino darmowe.

Mój rozmówca rozkręca się.

- Gdy każdego dnia pojawiam się w pracy to tak, jakbym wchodził do rzeki pełnej śniętych ryb. Smutny widok. I jak wspominałem, za każdym razem rzeka jest inna.

- Wiesz, Franek. Nie za bardzo rozumiem, mógłbyś mówić mniej metaforycznie? - lekko się niecierpliwię. Zaprzatają mą głowę inne dylematy. Czy piersi Syrenki są gładkie czy chropowate? Zimne czy ciepłe? Muszę sprawdzić!

- Nie mogę inaczej, przysięgam, że nie mogę. To tkwi we mnie od dawna. Uczucie, że jestem rybakiem. Muszę łowić martwe ryby, z pustymi oczami, śliskie, nijakie, patrzeć im w pyski, a na końcu wypuszczać w nadziei, że następnego dnia wrócą żywe. Ale one nie wrócą, bo płyną z nurtem, a na ich miejsce pojawiają się nowe, równie nieżywe. Są inne, ja jestem w innym miejscu, chociaż wszedłem do tej samej rzeki.

- Powiem ci, że trochę się gubię. Rzeka, śnięte ryby, branża transportowa. Mówisz do mnie zagadkami.

- Przepraszam cię, Konradku. Muszę to wyrzucić, pozbyć się, podzielić z tobą. Jaśniej chcesz? - pyta, a ja

kiwam głową - Moja firma zajmuje się transportem publicznym na wielką skalę. Tramwaje, autobusy, pociągi, metro. Przewozimy rano ludzi na drugi brzeg Warszawy, by zapelniali te piękne wieżowce, galerie handlowe, wysypujemy na bruk i zostawiamy samym sobie. Potem czekamy, aż pojawią się z powrotem. Jeszcze bardziej martwi niż rano.

- Pracujesz w MPK?

- Mhmm, na umowę o dzieło.

- A co robisz? - czuję, że rozmowa nabiera większego sensu.

- Kontroluję.

- Kanar?

- Tak - wzdycha ciężko.

- I to cię tak męczy? Ludzie pewnie są niemili, agresywni? Rzeczywiście dołująca robota.

- Nie rozumiesz. Właśnie kontakt z człowiekiem trzyma mnie jeszcze w pracy. Tylko tam jest nadzieja.

Myślę intensywnie, bo ciężko rozmawia się z żółto-opierzonym filozofem, panem Arystokanarkiem, jak go w żartach określam. W ogóle filozofów zaliczam do trudnych rozmówców. Paru spotkałem w życiu, ale żaden nie przekonał mnie do swoich racji. Gdy tracą cierpliwość, chowają się za swoich wielkich przedstawicieli, zasłaniają tarczą cytatów i wtedy kończy się wszelka, merytoryczna dyskusja. A już całkiem głupieją, gdy używam logiki w odpieraniu ich argumentów. Bzdurzą, bełkoczą, że tak nie można, bo logika jest tylko narzędziem. Ech, szkoda poruszać temat filozofów. A domorośli mędrcy jak Franek? Oni mają gdzieś logikę, filozofują w sposób naturalny, by nie żec naturszczykowy. Franków najłatwiej spotkać w innej branży - za kierownicami taksówek. Kraków mały, trasy krótkie, koszty niewielkie, a lenistwo u mnie duże, dlatego często korzystam z ich usług. Jestem, więc, jak to się mówi, w temacie. Taksówkarze są mistrzami mędrkowania. Siedzą dniami w dusznych autach, czekając na klienta, słuchają wiadomości, potem ckliwych hitów, nastrajających melancholijnie i rozmyślają o świecie, snują wnioski, konkludują. Potem odpalają silniki, przewożą, niczego niepodejrzewające, ofiary i dzielą się "mądrościami". Franek jest taką warszawską wersją krakowskiego taksówkarza. Nie stać go na własny biznes, pracuje w korporacji, ale ma podobną potrzebę tłumaczenia "jak działa dziwny świat". Kpię nieładnie, w myślach rzecz jasna tylko, z bajdurzeń kamrata od winka, a on dalej swoje.

- Niewolnictwo śniętych ryb. Tak bym ujął sprawę. Te twarze, mówię ci. A już mówiłem...

Kurcze, a było tak miło. Krajobraz miasta, surowy, nic poza architekturą, światłem i ciemnością. Franek ciągnie swój monolog, niestety. Słucham, jest długi.

- Jedyną nadzieję dają twarze złapanych ludzi. Mój boże, jakie wspaniałe uczucie, gdy wchodzisz w tłum obojętności, a tu nagle ktoś zwraca na ciebie uwagę. Widzisz w oczach strach, zawstydzenie, często butę, agresję. Wiedz, że za mną nikt nie stoi, jestem samotny w tłumie ludzi. Nie posiadam żadnych środków przymusu, jedyne co mogę zrobić to porozmawiać. Czasem nawet się udaje. Słyszałem wiele historii, niektóre były prawdziwe, większość okazały się kłamstwami.

Odpuszczam dzieciom. Nie, nie z litości, one są po prostu zbyt plastyczne, nie rozumieją nic, działają schematycznie jak wyuczone małpki.

Wiesz, w pociągu, na pewnej trasie linii podmiejskiej, spotykałem dwóch chłopaków z dużymi, szkolnymi plecakami. Codziennie jeździli dwa przystanki i wysiadali. Stali zawsze przy drzwiach, nerwowo oglądając się na bok. Wiedziałem, że nie mieli biletów. To się wie i już. Być może byli biedni, a może tylko oszczędni? Sądzę, że rodzice postanowili za nich, że nie warto wydawać pieniędzy na bilety mie-

sięczne. Może zakładali, że to przecież tylko dwa przystanki, czemu ma się nie udać? A pieniądze były potrzebne gdzie indziej, na coś innego.

Najpierw chciałem podejść, wystawić kwit i po sprawie. Później nosiłem się z zamiarem porozmawiania, wytłumaczenia, że tak nie jest w porządku. Inni płacą uczciwie i nie wolno oszukiwać. Rozumiesz, dzieci powinny poznawać dobre wzorce. Zrezygnowałem, nie było sensu. Zacząłem ignorować ich, przechodziłem obok, udając, że nie widzę dzieciaków. Kolejne dni, ukradkiem, obserwowałem wyraz twarzy chłopców. I one się zmieniały się. Pamiętam początkowy strach w dziecięcych oczach. Byli przerażeni samą moją obecnością. Później już tylko zdziwieni. Z dnia na dzień nabierali odwagi, aż w końcu uśmiechali się do siebie i ostatecznie odnalazłem w ich oczach pogardę do mnie. Uznali mnie za słabego, bezużytecznego, nic nie wartego kanara.

Korciło mnie, by rozpocząć czynność kontroli, tak dla zabawy, utarcia nosa smarkaczom, ale stwierdziłem, że nic nie uzyskam poza chwilową złością, dziecięcym strachem. Następnie pojawia się, jakże dobrze znane mi, bezwartościowe grymasy, mdłe rysy, puste oczy. Rodzice przypisali dzieciom role ofiar, chłopcy weszli w nie z dziecięcą naiwnością i koniec. Nic się nie zmieni. Nadal jednak mam nadzieję, wciąż szukam nowych, prawdziwszych twarzy...

Franek zamilkł. Dużo kosztowały go zwierzenia, musiał napić się.

cdn.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

alea, dodano 08.02.2015 15:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.